ZA GŁOSEM OBOWIĄZKU

Kolekcja
Emila Kornasia

Żołnierzom z ducha: mężnym w boju,
prawym w życiu —
wiązankę opowiadań, które mówią,
jak w pełnieniu obowiązku trwać do
ostatka

poświęcają wydawcy.

KSIĄŻECZKA PIERWSZA.

LWÓW 1920.
NAKŁADEM „NOWEJ POLSKI".
Drukarnia Polska, Chorążczyzna 31.

Biblioteka Publiczna w Opolu
CZYTELNIA
CM KER 321732

Wpisano do Księgi Akcesji
Akc. D1 nr 41 /2013 CM

Choćby opoczystą była gleba.

„Ty idź — i siej —
— — — — — — — — — — — —
Ziarna prawdy siej, — ziarna zasad świętych i czystych —
Na roli zbożnej — serc —
— — — — — — — — — — — —
I nie patrz na przeszkody — i nie wierz słowom tych —
co ci zwątpienia jad wlać w duszę chcą —
I na pochwały ludzkie ty głuchym bądź — i na szyderstwa miej nieporuszoną twarz —
I na niewdzięczność ich — i na nienawiść może —
i na złość
Ty gotów bądź —
A idź — i siej —
I choćbyś sam już zwątpić miał, — choćby ta rola
serc — opoką być się zdała — choćbyś z tej
siewby twojej — owoców widzieć nie miał, —
i choćby ona ci w nagrodę za twój trud — kolce
rodziła same —
Ty idź i siej —
Bo od tej siewby twej — przyszłość zależy nasza —
Przyszłe szczęście Ludu — i szczęście przyszłe
Ojczyzny — co przez Lud przyjdzie — co
ziarna Boże rzuca — na rolę serc —
Bo od tej siewby twej — co ziarna Boże rzuca na
rolę serc —
Dusze wyrosną nam — i serca wzniosą się —
I jutra wstanie wschód —
I lepszy przyjdzie dzień. —
— — — — — — — — — — — —

I. Wysłouch.

Za Ojczyźnę.

(Obrazek z czasów powstania 1863 r. na ziemi Podlaskiej. Urywek z nowelki A. Szymańskiego p. t. „Matka".)

— — — — — — — — — — — —

Nie upłynęło od wejścia oddziału i dwóch tygodni, gdy w mieście całem niebyło, i najmarniejszej izdebki, w której nie mieściło się po pięciu i więcej ludzi, i niebyło dnia, w którym by na spotkanie nowej partyi nie wychodzono. Partye szły wsiami, po kilkunastu, dwudziestu, rzadko więcej niż piędziesięciu ludzi; tylko blizcy krewniacy, dzieci, niewiasty, każdą partyę odprowadzający, zdwojali na oko i potrojali ilość przybywających. Bywały dnie, w które przychodziło po kilka partyj. To też miasto wkrótce przyzwyczaiło się do tego i udział ludności w codziennych uroczystościach powitalnych z konieczności rzeczy powoli zredukował się do osób, występujących niejako z urzędu, dzieci, i licznych przyjezdnych, dla których było to nowością.

Aliści dnia pewnego w całem mieście od samego rana zapanowało poruszenie niezwykłe, nietylko chrześcijańska ale i żydowska ludność żywo i z przejęciem o czemś rozprawiała. Zaciekawienie niewiedzących rosło, ale i najciekawsi nie wiele dowiedzieć się mogli, nawet u źródła wszechwiedzy, jakim był tu liczny sztab wodza wszystkich sił zbrojnych w mieście zebranych. Około południa stało się niewątpliwie wiadomem jedno, że tegoż jeszcze dnia i to wkrótce mą przyjść jakaś partya niezwykła, na spotkanie której wyjdzie stary i mały, wyjdą chrześcijanie, żydzi, cechy z chorągwiami — wyjdzie miasto całe.

Natychmiast tedy po obiedzie wszystko co żyło, wyruszyło w stronę gdzie, hen, za rozległemi lasami, wśród wydm piaszczystych i lasów karłowatych wprawdzie, lecz również rozległych, leżała jedną z największych wsi ziemi liwskiej. Za tłumem ludzi pociągnęły chorągwie cechowe i kościelne i mały oddział zbrojny, z kilkoma oficerami na spotkanie wysłany.

Iść długo nie wypadało. Ci, co pierwsi wyszli za domy ostatnie, ujrzeli, nie dalej jak o wiorstę za

miastem, tłum ludzi, jak gdyby prowadzony przez znaczną i zwartą kolumnę, z chorągwią na czele idącą. Zatrzymali się więc wszyscy, rozchodząc się po obie strony drogi, aby i idącym dać miejsce, i lepiej widzieć wszystko.

Wiadomem już było, że partya jest nietylko liczną, ale, i dobrze wyrobioną, wiedzie ją stary Kozłowski „ten co ma synów tylu". Wkrótce tłum zbliżył się na staj kilka, i śpiew idących. „Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny"... rozległ się donośnie, obnażono głowy, łączono głosy z nadchodzącymi i chór potężniał z każdą chwilą.

Nadeszły wreszcie cechy, nadjechali starsi i spotkali się z partyą. Na czele szedł starzec białowłosy, z wielką również bielutką brodą, okrywającą mu piersi całe — starzec białowłosy, ale rzeźki i krzepki.

Zaczęły się powitania.

Trudno było usłyszeć cośkolwiek, ale tłumy, które przybyły z partyą, już się zlały w jedną masę z witającemi i wszędy piorunem rozchodziły się wieści: Że całą partyę prowadzi, i w bój ją również wieść będzie pan Kozłowski, starzec przeszło 70 letni. Że w oddziale strzelców, 50 ludzi liczącym, cały pierwszy szereg z siedmiu synów się składa, z których najstarszy, brodacz, do ojca nadzwyczaj podobny, pięcioro dzieci w domu pozostawił... Ze średni z synów, pan Jan, pierwszy z lewej strony, wzrostem najmniejszy, ze wszystkich jest najdzielniejszy, że to siłacz który podkowy łamie i na dziki bez broni palnej z jednym kordelasem zawsze chadza, i on to teraz wszystkim strzelcom przywodzi... Że najmłodszy osiemnaście lat liczący, chłopiec śliczny jako dziewczyna, obok p. Jana idzie, a tuż przy nich na malutkim wózku jednokonnym, kobieta czarno ubrana — to sama — to sama pani Kozłowska, jedzie przy dziecięciu najmłodszem... Że wreszcie cała partya, przeszło dwustu licząca, cała to do jednego człowieka, wyłącznie z tej jednej wsi pochodzi...

*

Gdy wieści owe wśród tłumów się rozniosły, z początku jak gdyby tym wieściom nie wierzono, jak gdyby nie rozumiano, co one znaczą, aleć gdy wi-

dok partyi, znajdującej się przed oczami wszystkich, każdziutkie słowo najzupełniej stwierdzał, nastąpiło chwilowe osłupienie, a po niem chwila, której ani przedtem, ani potem, przy spotykaniu nadchodzących partyi, już nie było.

Nie okrzyki i śpiewy, ale jęk i płacz przeszedł ku idącym...

Więc to jest ów lud, co starym obyczajem, wszystek, na gody krwawe wychodzi, niewiasty jedynie małe pacholęta, i starce wielce zgrzybiałe po domach zostawiając?

I jęk, i płacz rozchodził się w głąb tłumów...

„Patrzcie, patrzcie!“ wołano „toć w każdym szeregu idą starcy jak gołębie, biali!...

„Patrzcie, patrzcie! — wołano — toć w każdym szeregu prawie że dzieciaków po kilku!...

„Jezus Marya! Tóż we wsi nikogo nie zostało!... Matko Najświętsza — nikogo nie zostało!...

A oni — ubodzy, w szarych siermięgach swoich szli hardzi, i wyniośli...

Siermiężni panowie podlascy!

I zrozumiano ofiarność ludu ubogiego.

I nie z jękiem, i płaczem, ale z rykiem jakimś padali na kolana, ręce ku idącym wyciągając. — —

— — — — — — — — — — — —

Po surowych twarzach przybywających przeleciała jakby iskra boża, i silnie zakołatały widać serca zacne, bo zadrżały usta pobladłe, zatrzęsły się wąsiska i Bóg wie czy wszystko godnie weszłoby do miasta, gdyby nie pan Kozłowski, który choć mu łzy ciurkiem płynęły i sam mówić nie mógł, dał znak ręką swemu Jasiowi, nie tylko ciałem ale duchem mocnemu i ten głośną komendą „baczność“ szeregom, już słabnącym, moc, i sprężystość przywrócił...

Partya w porządku wchodziła do miasta.

— — — — — — — — — — — —

Odwaga cywilna.

(Amicis: Serce, tłumaczenie M. Konopnickiej.)

Punkt o dwunastej stanęliśmy z nauczycielem naszym przed ratuszowym gmachem, gdzie miano dawać medal chłopcu, który uratował towarzysza od utonięcia w rzece Po.

Na frontowym tarasie powiewała wielka trójkolorowa chorągiew. Weszliśmy dwójkami na dziedziniec. Pełno już się tam tłoczyło ludzi.

Wcisnęliśmy się w kąt, gdzie już było dużo uczniów z innych szkolnych sekcyi, z nauczycielami swoimi, a tuż przy nas stała spora kupka wyrostków, tak pomiędzy dziesiątym a osiemnastym rokiem, którzy śmiali się i mówili bardzo głośno i znać było że wszyscy są z przedmiescia nadrzecznego, znajomi i towarzysze chłopca, który miał dostać medal. A dokoła dziedzińca wszystkie okna zapchane głowami urzędników municypalnych. Nawet loża nad Biblioteką miejską pełna była ludzi, którzy się do balustrady cisnęli; w loży zaś przeciwległej, tej nad bramą wchodową, cisnęły się uczenice szkół publicznych i „Córki Żołnierzy“ w pięknych swoich niebieskich welonach.

Naraz wszyscy zaczęli klaskać. W dziedzińcu, w lożach, w oknach. Wspiąłem się na końce palców, żeby coś zobaczyć. Tłum, który się cisnął poza czerwonym stołem, poruszył się nagle, a z tłumu wystąpili naprzód jakiś mężczyzna i jakaś kobieta. Mężczyzna trzymał za rękę chłopca. To był ten chłopiec, który ocalił kolegę. Mężczyzna zaś to był ojciec chłopca, mularz, o odświętnem ubraniu. Matka zaś chłopca to była ta kobieta nizka, drobna, z włosami jasnymi i w czarnej sukni.

Chłopiec także blondynek i drobny, ubrany był w szarą kurteczkę. I stanęli tak wszystko, patrząc na te tłumy ludzi, ogłuszeni tą burzą oklasków, onieśmieleni, nie wiedząc co z sobą zrobić i jako się poruszyć.

Ucichło wszystko na chwilę, poczem znowu wybuchły oklaski. W tem straże stanęły w pozycyi. Wszedł syndyk, a z nim wielu panów. Syndyk, zupełnie siwy, z trójkolorową szeroką szarfą, stanął za stołem, panowie zaś nieco za syndykiem, po obu jego

stronach. Orkiestra przestała grać, syndyk dał znak, zrobiła się cisza.

Wtedy zaczął mówić.

Pierwszych słów niedosłyszałem dobrze; alem zrozumiał, że opowiadał postępek chłopca.

Potem głos jego wzmógł się i jasnem brzmieniem wypełnił tak dziedziniec cały, że słychać było dobrze każde słówko.

...Kiedy zobaczył z brzegu kolegę, który walczył z falą, ogarnion już zgrozą śmierci, zerwał z siebie odzież i nie wahając się ani chwili, na ratunek biegł.

Utoniesz! — krzyczano z brzegu. Nie odpowiadał. Chciano go powstrzymać — wyrwał się: wołano na niego po imieniu, — był już w wodzie.

Rzeka była wezbrana, pędziła z szumem, straszliwe niebezpieczeństwo groziło nawet dorosłemu człowiekowi w jej wzburzonych falach. On jednak rzucił się przeciw śmierci całą siłą swego drobnego ciała i swego wielkiego serca, pochwycił tonącego, który już pod wodą był i pociągnął nieszczęśnika za włosy, walcząc zajadle z falą, która w niego wściekle biła i z uratowanym, który go się czepiał i ruchy jego tamował. To znikał pod wodą, to rozpaczliwym wysiłkiem dobywał się na powierzchnię, uparty w dziele swoim nie jak chłopiec, chcący uratować drugiego chłopca, ale jak mężczyzna, jak ojciec walczący śmiertelnym bojem dla ocalenia dziecka, które jest życiem jego i całą nadzieją.

Nakoniec — Bóg nie pozwolił. żeby to męstwo tak szlachetne, zostało daremnem. Mały pływak wydarł rzece jej drobną ofiarą i oddał ją ziemi, tam jeszcze, na brzegu, ratując z innymi małego topielca, poczem powrócił do domu sam, spokojny, z prostotą opowiadając rodzicom o całem zdarzeniu.

Panowie! Piękną, czcigodną jest rzeczą heroizm mężczyzny! Ale w dziecku, nieznającem jeszcze ambicyi, ani jakichkolwiek pobudek osobistego interesu; w dziecku, które musi mieć o tyle więcej odwagi, o ile siły jego są słabsze: w dziecku, od którego nie wymagamy nic jeszcze i które do niczego nie jest obowiązane, które nam już dobrem i szlachetnem się wydaje, kiedy rozumie i uznaje poświęcenia innych — heroizm w dziecku takiem jest czemś boskiem.

Nic więcej nie powiem panowie!

Nie chcę obniżać pochwałami tej wielkoduszności prostej. Oto macie tu przed sobą tego mężnego wybawcę, tę świętą dziecinę.

Żołnierze! Powitajcie go, jak brata!

Matki! błogosławcie go, jak syna!

Dzieci! uczcie się imienia jego, wyryjcie sobie w sercach rysy jego twarzy, żebyście go nie zapomniały nigdy, nigdy.

Przybliż się chłopcze! w imieniu króla Włoch daję ci medal za cywilną odwagę!

Ogromny okrzyk wznoszonych głosów zatrząsł murami gmachu, tysiącznem echem w nich odbity.

Syndyk wziął ze stołu medal i przypiął go chłopcu na piersiach, potem go objął i ucałował serdecznie.

Matka chłopczyny zasłoniła ręką oczy, ojciec stał ze spuszczoną głową.

Syndyk uścisnął ręką obojgu, a wręczywszy dekret królewski, dotyczący medalu tego i związany wstążką podał go matce. Zwrócił się potem raz jeszcze do chłopca i rzekł:

Niechaj wspomienie dnia tego, który cię w oczach współobywateli chlubą okrywa, a jest dniem szczęścia dla ojca twego i matki twojej, niech to wspomnienie utrzymuje cię przez całe życie na drodze prawości i honoru! Bądź zdrów, bohaterze mały!

Oddalił się syndyk, muzyka zabrzmiała.

A z góry, z okien, z balkonów, leciały okrzyki i oklaski. Naraz, kiedy już mieli wejść pod portyk, spadł z loży „Córek żołnierzy“ prawdziwy deszcz kwiatów, fiołków, stokrotek na głowę chłopca, na głowy ojca i matki i usłała im jakby dywan pod nogi.

Rzuciło się wielu zbierać, podawali matce. A muzyka, tam w głębi, grała prześliczną pieśń zupełnie akby tysiące srebrzystych głosów śpiewało, oddalając się zwolna, z szumem wielkiej rzeki.

MARYA KONOPNICKA.

Młody Żołnierzu...

Młody żołnierzu, młody żołnierzu,
Za co ty idziesz w bój?
— — — — — — — — — — — —
— Za wszystko dobre idę w bój!
Za ideałów ołtarz mój,
Za życia moc,
Za życia zdrój,
Co dla milionów niezrodzonych płynie,
W tajemnej wieków głębinie,
W bój idę, wierny przymierzu,
Co duchy w ogniwa sprzęga...
Na śmierć! — jest moja przysięga,
Na śmierć! — mój tarczy znak.

W bój idę za bratni rój,
Za ciszę i plenność pól,
Za ciszę i światło chat,
Za borów szum, za łężny kwiat,
Za mogił zapomnianych tajemniczy ból,
Ja traw podolnych, podeptanych brat,
W odkupień idę bój!
Idę by na swem gnieździe mógł spiewać wolny ptak,
By ziemia rodzić mogła dla łaknących kłosy,
By usłyszane były jutra tajne kłosy,
W pustym, bezdusznym dnia gwarze...
Za podniesienie pochylonych głów,
W promienność słońca...

Za wielką pieśń bez słów,
Którą na dziejów cytarze,
Co świeci chwałą złota,
Na strunach czynów,
Z ojców na synów,
Nieśmiertelny hymn żywota,
Naród — od lat tysiąca —
Sam sobie gra,

Ja skra,
Ja ruch,
Ja młodość świata,
Ja życia duch,
Co z grobów wzlata,
Ja życia zdrój,
Za wszystko dobre idę w bój,
W śmiertelny bój!

„Niema przeszkód dla ułanów polskich."

Na granicie wypisać te słowa Wąsowicza.

Ułan polski w wawrzynach stoi przed obliczem historyi. Narodził się z przesławnych usarzy. Odrzucił ich skrzydła lecz zachował dzielność. A dzielność to hart niepokonany, to pogarda śmierci, to posłuch bezwzględny, gdy rozkażą iść na śmierć pewną.

Ułan polski przywoływał dotąd na pamięć zawsze Somosierrę. Szalony był rozkaz, który wyrzekły tam usta wielkiego Cesarza. Niemniej jednak został spełniony, bo — niema przeszkód dla ułanów polskich.

A wielka wojna stworzyła odpowiednik do Somosierry — Rokitnę. Nie miał ten ułan polski nawet tego bodźca, jakim był porywający czar „boga wojny." Ale otrzymany rozkaz był również szalony. Jeszcze nie słyszano, by konnicą zdobywał ktoś okopy! Ale rozkaz był dany i został spełniony, bo — niema przeszkód dla ułanów polskich!

D. 13 czerwca 1916 rozkazano szwadronowi rotm. Wąsowicza i Brzezińskiego wykonać szarżę na okopy rosyjskie pod Rokitną i wziąć je.

Szykują się ułani. Chwila, sekunda niemal, a oba szwadrony stanęły w pogotowiu, formując na dalszy rozkaz kolumnę szwadronową, poczem kłusem, zboczem górki, zasłonięci od oczu rosyjskich, pomknęli ku lewej stronie wsi, ku domkom od których dzieli ich jar dość stromy i tej samej co wieś nazwy strumyk Rokitna, płynący dołem, i bagnisty.

Ten jar i ten strumyk stały się dla nich przeszkodą, lecz na moment tylko — bo gdy ułani wa-

hają się co czynić: „Niema przeszkód dla polskich ułanów“! — woła Wąsowicz, spina konia, zawisa przez chwilę zdumionym oczom w powietrzu, i już na drugim brzegu pędzi...

Gdy tyralierę minęli, pada komenda nowa. „Dywizyon do frontu“! — i w ócz mgnieniu formuje się dwurząd jadący na wieś, wciąż kłusem, ku widocznym zdala wiatrakom, u których przyczaiły się, jakby rozlazłe u szczytu zbocza okopy rosyjskie. Jadą z dobytemi szablami, dostrzeżeni już przez Rosyan, choć zasłonięci jeszcze od nich stokiem góry. Tak dojeżdżają do kilku domków szarych, stojących już na skraju sioła.

„Trzeci szwadron w rezerwie“! — rozkazuje Wąsowicz — i ostaje się jak w ziemię wryty szwadron trzeci, podczas gdy drugi przed siebie wciąż wali... Chwilka jeszcze, u szczytu będzie, u dwóch wiatraków, za którymi rosyjskie okopy.

„Tyraliera“! — brzmi rozkaz, i gdy zgodnie jakby jedną ręką trzymanych sześćdziesiąt szabel pobłyskuje w słońcu, błyskawica przelatuje szeregi — rozsuwa się linia długa wyciągnięta, prosta...

Chwila jeszcze... Wiatraki bliżej, coraz bliżej, a w tętent koni mięszać się zaczynają coraz częściej czemraz natarczywiej rosyjskich kul poświsty.

„Do ataku broń“! — Marsz — marsz! „Polscy ułani!“

Zgodnie, równo, spokojnie pędzi tyraliera... Drży ziemia, ostrogi wbijają się koniom w boki, tentent dzwoni, armaty ucichły na chwilę, a tylko oni pędzą i lecą jak orły po łup, po chwałę, po zwycięstwo lub po... śmierć czającą się potrójnie z rosyjskich okopów...

„Hurra“! — brzmi zgodnie, równo i spokojnie wzdłuż frontu galopującego za rotmistrzem, którzy się tylko schylił nad karkiem końskim i szablę wyciągnął nad siebie, jakby gotując ją do jakiegoś strasznego nieodpartego ciosu. Rów pierwszy skokiem równoczesnym i zgodnym w jednej linii biorą, a zanim walą dalej, ale już nie wszyscy. Bo oto trafiony kulą w czoło spadł z konia bez skargi i jęku ułan z trzeciego plutonu Kubik Bolesław. Po nim przez rów skacząc

wachmistrz Bolesław Wąsowicz, brat rotmistrza, przewraca się z koniem i ranny lekko, dźwignąwszy się wraca do wsi, bo go już szwadron odjechał daleko. Poza rowem drugim pada ranny oficer rachunkowy szwadronu Fąfara, który ochotnikiem na szarżę poszedł ze szwadronem. Przed nim nieco, o parę kroków bliżej — kapral Sperler Józef — artysta malarz z koniem pada. Za nim wali się z konia ranny kapral drugiego plutonu Brincken Tadeusz, i w tej samej prawie chwili na lewem skrzydle na drodze wachmistrz szwadronu dr. Adamski Tadeusz.

Ci pozostali. a reszta szwadronu mknie dalej... Błyskają jeno szable w słońcu, sypią się ciosy niechybne, a oni lecą i lecą przez pole, witani strzałów gradem, imających się co chwila tych żołnierzy jak nie z tego świata, opancerzonych w stal ideału, pędzących na stracenie w imię Polski, w imię tej sławy i tych marzeń, które ich wypieściły, a teraz oplotły nagle jak maki czerwone rozkwitające śmierci rycerskiej purpurą.

Kopyta przebłyskują żelazem nad głowami rosyjskich żołnierzy...

Straty straszne, niepowetowane, lecz mimo to szwadron mknie dalej, szarża nie ustaje.

Skłębił się i splątał nasz atak szalony, zmięszała się linia prosta i błyszcząca, tuman kurzu wzbił się jak wir w powietrze — opadły szable wzniesione, minął szał zwycięstwa... Karabiny trzaskają bez przerwy... W środku okopu, na równej drodze zwalił się jeszcze w serce trafiony ułan Majda Michał z pierwszego plutonu.

Padł Rakowski Jerzy, i Zwatschke Antoni, i Michał Tworkowski i Starczewski Tadeusz — zwący się w Legionie Rawskim Wincentym — szrapnelem zabity. Na prawo za Rawskim spada z konia ciężko ranny wachmistrz rachunkowy Nowakowski, który jak podpor. Fąfara także na ochotnika na wyprawę poszedł. Wzięli go Rosyanie w okop, i choć opatrzyli, w niedługi czas ducha wyzionął.

Ranny w rękę ułan trzeciego plutonu Sierhiejewicz ujść już nie zdołał i poszedł w niewolę.

Taksamo wachmistrz Jagrym, kapral Chwalibóg i ułani: Prokop Kazimierz, Gorbaczewski i Łabędzki.

Żadnego z nich całym nie udało się wziąść Moskalom.

Jakubowicz ułan z plutonu czwartego, gdy po stracie konia piechotą się salwuje pada pięciu kulami raniony. Biorą go Moskale w niewolę, lecz nazajutrz zostawiają w ucieczce jego, Gorbaczewskiego i dwóch innych towarzyszy.

Po drodze do wsi giną ostatni: kapral Karasiński Karol i ułan Szysz Mikołaj ze Stryja, a Stembart Józef kapral w bok ranny trzyma się przecież na koniu i mimo kul nad nim przelatujących kryje się za chałupą i wreszcie wraca do swoich.

Reszta wzdłuż okopów wracająca, wpada pod artyleryę i wreszcie dostaje się w ogień obu linii tyralierskich, rosyjskiej i naszej...

... Armaty grają... Huk... świst... trzask — nad pierzchającymi wykwitnął biały dymek szrapnela...

Pędzą ku wsi jeźdźcy bez koni, zrywają się biegną konie same a za nimi wciąż trzeszczą karabiny i pękają szrapnele...

Atak skończony — trwał minut piętnaście. Tyle czasu było potrzeba, by w czasach dzisiejszych wznowić tradycye Somosierry, by dokonać czynu, o którym potem rozkaz komendy brygady powiedział: „Ten atak będzie w historyi Legionów uwieczniony jako najwspanialszy czyn kawaleryi.“

*

Tak o tej szarży wiekopomnej opowieść pozostała zapisana ręką historyka*).

Niechże wspomnienie jej podnosi dusze i rozpala serca, ilekroć niebezpieczeństwo zawiśnie nad Ojczyzną.

Niechaj w chwili takiej budzi nam naśladowców rokitniańskiego zastępu, gotowych nieustraszenie życie oddać dla dobra i chwały Ojczyzny.

Ale naśladowcą takim winien być nietylko na rumaku osadzony rycerz, nietylko żołnierz wogóle —

---

*) Wiktor Mondalski. Z 3. Pułku Legionów Polskich. Kraków. 1916.

naśladowcą niechaj będzie każdy i na każdym posterunku, a być nim potrafi, jeśli uogólniając słowa Wąsowicza powie sobie (i tego trzymać się będzie): Gdzie idzie o Ojczyznę, niema przeszkód dla Polaka!

Rota Hallerowska

Pieśń Armii Ochotniczej.

Ostał nam jeszcze w piersi gniew
i kosa w krzepkiej dłoni
Za oręż chwyćcie! Krew za krew!
Do broni czas — do broni —
Któżby z nas doma ostać mógł?
— tak nam dopomóż Bóg —
— tak nam dopomóż Bóg.

Powstańcie wszyscy! Nadszedł czas
Do Broni! Haller wzywa —
— Któż jak nie On powiedzie nas
pęknięte skuć ogniwa?
Nie zhańbi ziemi naszej wróg
— tak nam dopomóż Bóg
— tak nam dopomóż Bóg.

W tysiące koni będziem gnać,
jak piorun i jak burza —
— Gdy przyszła pora prać — to prać
aż łeb się w krwi unurza. —
Nie damy ziemi skąd nasz ród
— tak nam dopomóż Bóg
— tak nam dopomóż Bóg.

Cóż stąd, że wkoło chytry wróg
jak pająk sieć rozsnuwa —
— Pójdziemy w mgłę poleskich dróg —
— nad nami Haller czuwa!
Któżby z nas doma ostać mógł
— tak nam dopomóż Bóg
— tak nam dopomóż Bóg.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu CZYTELNIA

50 —

Po całej Polsce grzmi jak dzwon —
— Na Bój i po zwycięstwo
i płynie śpiew przed Boży tron
— racz dać nam hart i męstwo!
Nie damy ziemi skąd nasz ród —
— tak nam dopomóż Bóg
— tak nam dopomóż Bóg.

Edward Ligocki.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu
CM KEK 321732
000-321732-00-0